



Reportaż Marcina Wójcika

MAM WYLICZONE NA JEDZENIE

Artyści w biedzie

MAM WYLICZONE
na jedzenie

Aktor:

„Pracowałem
za 400 złotych netto za miesiąc”.

Aktorka:

„Nie starcza mi na życie.
Dorabiam w sklepie z butami”

Bartek, lat 36, jest aktorem teatralnym poza Warszawą. Pracuje na umowę o pracę w biurze księgowym, wcześniej przy pakowaniu kanapek. W aktorstwie nigdy nie miał etatu.

– Na szczęście miałem umowę-zlecenie w teatrze, czyli opłaconą składkę zdrowotną, kiedy zdiagnozowano u mnie nowotwór z przerzutami. Nie mogłem stracić tego zlecenia, bo straciłbym prawo do darmowego leczenia. Z dyrektorem teatru byłem umówiony tak, że w czasie mojego miesięcznego pobytu w szpitalu na występy będzie za mnie jeździł mój kolega, a później ja pojedę za niego. Przez chwilę to się udawało, ale w końcu kolega miał dość intensywnych wyjazdów. Po wyjściu ze szpitala co dwa tygodnie miałem chemię i zaraz po niej jechałem w trasę z występami.

– Byłeś w stanie?

– Dostawałem małe porcje chemii, bo większe mogły mnie zabić. Lekarz powiedział, że sytuacja źle wygląda, że mogą mi tylko przedłużyć życie. Ale stał się cud, rak się wycofał, a ja mogłem dalej pracować w teatrach za śmieszne pieniądze, na przykład 400 złotych netto za miesiąc. Uciekłem wtedy do Warszawy.

Dyrektor jednego ze stołecznych teatrów zwolnił aktorów, którzy mieli etat, a zatrudnił mniej doświadczonych na umowę-zlecenie – miała być tymczasowo, później etat. Zaproponował Bartkowi, że będzie mu płacił mniej, niż jest to zapisane w umowie.

– Ludzie biorą wszystko. Koleżanka dostała 1400 złotych za dwa miesiące przygotowywania roli we Wrocławiu. Do tego w teatrze nadal występują niejasne sytuacje. Mnie jeden reżyser mobbował, uświadamiał w chamski, wulgarny sposób, że nic nie umiem. Kiedy zaprosił mnie do kolejnego projektu, odmówiłem. Aha, i spotkałem reżyserów, którzy uwodzą aktorów, flirtują z nimi, wciągają do łóżka w zamian za lepsze role i pieniądze. Tak, to się wciąż dzieje. Im większa bieda w kulturze, tym więcej świństwa.

NIE MA WOLI PREZESA

Siedem lat temu PiS obiecał ustawę o artystach zawodowych. W niej zapis o dofinansowaniu skła-

dek zdrowotnej, rentowej i emerytalnej dla artystów, którzy nie są na etacie. Mieliby dostać od 20 do 80 procent dofinansowania, liczonego od średniej krajowej płacy. Zapytałem Ministerstwo Kultury, kiedy ustawa wejdzie w życie. W odpowiedzi czytamy, że wciąż trwają prace, i nie ma nic o terminie ich zakończenia.

Bogdan Zdrojewski, senator, były minister kultury: – W tym przypadku jest dwanaście etapów, które poprzedzają skierowanie ustawy do Sejmu. Utknęła na czwartym etapie, w komisji cyfryzacji. Nie sądzę, by miała szansę na pozytywny finał w tej kadencji Sejmu.

– Co pan myśli o projekcie?

– Kierunek dobry. Szansa na poparcie opozycji duża. Oczywiście jest tu kilka punktów, które należy uściślić. Na przykład ten: zaświadczenie o statusie artysty miałyby wydawać Polska Izba Artystów. Każdy, kto ubiegałby się o takie zaświadczenie, musiałby wykazać trzy lata dochodów z działalności artystycznej. Ale co w przypadku artysty, który pracuje nad rzeźbą dwa lata? Albo pisarza, który przygotowuje biografię przez trzy lata? I jeszcze pytanie, kto będzie ocenił dorobek, żeby uniknąć ryzyka politycznych upodobań. I czy trzeba się wystawiać w Biurze Wystaw Artystycznych, czy też może to być prywatna galeria na strychu, bo takie znam. Mnie się wydaje, że na ustawie najbardziej skorzystają twórcy ludowi.

– Dlaczego?

– Mają ciągłość wykonywanej pracy, mogą łatwo wykazać dochody, bo stale sprzedają wycinanki, garnki, serwetki, figurki. Ich dochody są skromne, dlatego łatwiej mogą otrzymać wsparcie w postaci sfinansowania składek zdrowotnej i emerytalnej.

– Wiadomo, ile rocznie kosztowałby ten pomysł?

– Według założeń 100 milionów samo dofinansowanie, a 8 milionów obsługa.

Artystów policzył zespół naukowców pod kierownictwem prof. Doroty Ilczuk z SWPS.

Wyszło mu, że jest ich 60 tysięcy, ponad połowa z nich pracuje na umowę o dzieło, czyli nie ma odprowadzonych żadnych składek, i żyje na skrajną ubóstwa.

Profesor Dorota Ilczuk: – Na całym świecie artyści są traktowani jako grupa zawodowa i mają pomoc ze

strony państwa. Tak jest w Europie Zachodniej, ale i w takich krajach jak Brazylia, Kanada, Australia. Liczyłam na to, że coś się wreszcie zmieni i w Polsce.

SKŁADKA BY MNIE DOBIŁA

Maciej Pesta – szerzej znany ze „Stulecia Winnych” i „Korony królów” – nauczył się żyć bez stresu, co zajęło mu kilka lat. Miał etat w teatrach w Kielcach i Bydgoszczy, ale zrezygnował trzy lata przed pandemią.

– Etat w teatrze to najniższa krajowa i uwiązanie w jednym miejscu. Przeszedłem na freelance. A teraz mam dziesięć osiemnastych etatu w Studium Aktorskim w Olsztynie, dzięki czemu jestem ubezpieczony zdrowotnie. O emeryturze nie myślę. Na co dzień mieszkam w Warszawie. Na własne mieszkanie mnie nie stać, a nie chcę kredytu. Samodzielne opłacanie składek do ZUS dobiłoby mnie finansowo.

– Ustawa o statusie artysty pomoże panu płacić składki?

– Pomoże tylko tym, którzy zmuszeni są żyć za głodowe stawki. Na przykład ja musiałbym zarabiać najniższą krajową, czyli 2700 na rękę, żeby dostać tyle dofinansowania, by było mnie stać na resztę składki. Ale jak mogę zarabiać najniższą krajową, skoro 2500 kosztuje wynajęcie kawalerki, do tego opłaty za prąd, wodę, jedzenie, ubranie. Dziwna ta pomoc.

PRZEGRALIŚMY Z LOBBY

Pisarz Zygmunt Miłoszewski został zaproszony przez Ministerstwo Kultury do rozmów nad projektem ustawy o artyście zawodowym. Zaproszenie przyjął, bo razem z innymi chciał coś zrobić dla artystów, którzy po 1989 roku znaleźli się w cieniu legislacyjno-fiskalno-ubezpieczeniowym, jak to określa.

– Państwo wyróżnia różne grupy społeczne i zawodowe, ponieważ ich specyfika wymyka się byciu „po prostu pracownikiem” lub „po prostu przedsiębiorcą”. Służby mundurowe mają wcześniejsze emerytury, nowi przedsiębiorcy mają zwolnienia i niżki w ZUS-ie, rolnicy mają KRUS, księża mają dofinansowania do składki, nauczyciele mają roczny urlop na podre-

MARCIN
WÓJCIK



FOT. GETTY IMAGES

perowanie zdrowia, lekarze specjalną stawkę podatku ryczałtowego, a artyści w systemie zwyczajnie nie istnieją. Prace nad ustawą szły do przodu, projekt wyglądał bardzo dobrze, wydawało się, że to przełom. Udało się wywalczyć, żeby kryterium przyznawania statusu twórcy nie było jakościowe, to znaczy, żeby ktoś nie powiedział: „Tokarczuk jest pisarką, bo dostała Nobla. A Miłoszewski nie jest pisarzem, bo pisze kryminały”. Zabiegaliśmy o to, żeby kryteria przyznawania pomocy były ilościowe, że trzeba coś stworzyć i czerpać z tego główne dochody. I to się udało wypracować. Po tym przyszedł czas na ustalenie źródeł finansowania. Nie chcieliśmy sięgać po pieniądze podatnika, chcieliśmy sięgnąć po pieniądze z opłaty reprograficznej, czyli od producentów i dystrybutorów sprzętu elektronicznego. Ale wcześniej trzeba było zreformować tę opłatę, bo w jej zapisach nadal jest mowa o kasetach VHS, a nie ma mowy o smartfonach. Tak czy owak ustawa o artyście zawodowym była gotowa. W pandemii przyszedł świetny moment, aby ją wprowadzić. Kina i teatry były zamknięte, spotkania w bibliotekach odwołane, a nie załapaliśmy się na jakieś superwsparcie jak przedsiębiorcy. Jednocześnie kultura za darmo docierała przez internet do ludzi pozamykanych w domach – teatry, spotkania autorskie. To naprawdę był dobry moment, aby przepchnąć ustawę. I wtedy coś poszło nie tak.

– Co?

– Okazało się, że naszym głównym przeciwnikiem jest bogate lobby dystrybutorów sprzętu elektronicznego, którzy powinni być płatnikami opłaty reprograficznej. Takie składki są powszechne w Europie. Lobby podniosło krzyk: Miłoszewski i Nosowska wprowadzają nowy podatek, żeby sobie kupić kolejną willę, polskie dzieci nie będą mogły dostawać komputerów i komórek, nowa kasta świętych krów. To był zalew tego typu narracji w internecie, do nagonki włączyli się popularni youtuberzy. Nagle się okazało, że jest to ustawa, której nikt nie popiera. Opozycja podchodziła ostrożnie, bo nie chciała ratować projektu rządowego, a rządowa strona też się schowała, zaskoczona sprzeciwem. Nie wydaje mi się, żeby w najbliższych latach ktoś wrócił do projektu.

– A pan się ubezpiecza?

– Mam działalność. Z trudem, nawet mnie korci, żeby zamknąć, olać emerytalne, wrócić do umów

o dzieło, a zdrowotnie przy żonie na etacie. I mieć nadzieję, że jak przyjdzie starość, to państwo w UE nie da umrzeć z głodu.

STAWKA ZA SUKCES

Reżyserka teatralna Katarzyna Szyngiera – rekordy publiczności bije jej „1989”, koprodukcja Teatru Słowackiego w Krakowie i Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku – też nie ma etatu, pracuje na umowę o dzieło.

– Korzystam z ubezpieczenia zdrowotnego byłego męża, ale to za chwilę się skończy. Sprawdzalam i wyszło mi, że gdybym chciała samodzielnie opłacać składkę zdrowotną, to musiałabym teraz przeznaczyć od 700 do 850 złotych miesięcznie. Nie mogę sobie na to pozwolić, musi mi wystarczyć na żłobek i jedzenie dla dziecka, maksymalnie mogłabym wydać 500 złotych. Będę szukała jakiejś formy zatrudnienia, w której jest ubezpieczenie zdrowotne. A co do składek emerytalnych, to nawet gdybym teraz zaczęła płacić, to niewiele uzbiaram. Lepiej wyszłabym na tym, gdybym co miesiąc przelewała pieniądze na oddzielne konto i nie ruszała ich do starości.

– Sztuka „1989” nie schodzi z afisza, na każdym spektaklu pełno widzów, dyrektor Teatru Słowackiego Krzysztof Gluchowski ciągle ją chwali. Rozumiem, że to poprawi pani sytuację ekonomiczną? – mówię.

– Do pewnego stopnia tak, jednak nie zadbalismy o to, by finansowo skorzystać na ewentualnym sukcesie. Powinnismy mieć kilkakrotnie razy więcej tantiem i prawa do tekstu – jak to jest w teatralnym zwyczaju. Mamy jedynie skromne 0,5 procent od każdego biletu, na które zgodził się dyrektor po premierze w ramach renegotjacji fatalnej umowy.

Aktor, występuje w spektaklu „1989”: – Nie mam nigdzie etatu, jestem wolnym strzelcem, wynajmuję mieszkanie z przyjaciółmi, na samodzielny wynajem mnie nie stać. Dobrze by było, żeby chociaż aktorzy występujący w musicalach dostawali od teatru pieniądze na fizjoterapeutów. W moim przypadku było tak, że grube pieniądze musiałem oddać fizjoterapeutom, by móc dalej grać w „1989”. A stawki?

*W Polsce pracuje
60 tysięcy artystów,
połowa z nich
ma umowę o dzieło,
czyli nie odprowadza
żadnych składek,
i żyje na skraju ubóstwa*

W Polsce za trzy miesiące prób dostaje się od 2 do 8 tysięcy złotych brutto. W przypadku „1989” wypłata mieściła się w tych granicach. I oczywiście docho-
dzą pieniądze za późniejsze wystawianie sztuki, ale
te są małe, jak wszędzie.

Aktor za występ w spektaklu „1989” dostaje od
300 do 700 złotych.

SPRZĄTAJĄ HOTELE

Gra w teatrach, filmach, ma 35 lat, nie chce, by podawać jej nazwisko: – Gdyby potrafił mnie samochód, to za leczenie musiałabym zapłacić z własnej kieszeni, a składki emerytalnej też nie płacę, więc jeszcze nie wiem, z czego będę żyła na starość. Moja przyjaciółka aktorka ma kawałek ziemi, który odziedziczyła po rodzicach, została rolniczką i ubezpiecza się w KRUS-ie.

Byłam świadkiem sytuacji, w których aktorzy niezatrudnieni na etacie po kontuzji w trakcie prób w teatrze nie mogli jechać na pogotowie, bo nie mieli ubezpieczenia. W jednym przypadku teatr zapłacił za prywatne leczenie. Ale takie gesty są rzadkością. Gdybym złamała nogę w trakcie prób, nikt nie zapłaciłby za moje leczenie ani za wykonaną pracę. Musiałabym zrezygnować ze spektaklu, w który włożyłam czas i wysiłek, i nie dostałabym ani złotówki. Od niedawna staram się zabezpieczać w umowach takie sytuacje, na przykład prosząc o zaliczkę za pierwszy etap pracy albo wprowadzając do umowy zapis dotyczący przerwania prób czy odwoływania spektakli.

Ponieważ repertuary teatrów ustala się tylko z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, nie wiem jeszcze, co będę robiła w styczniu. Odkładam, oszczędzam, ale znam aktorów, którzy żyją z dnia na dzień, mieszkają kątem u znajomych, nie stać ich na ZUS. Dorabiają. Prowadzą warsztaty ruchowe, uczą jogi, w wakacje wyjeżdżają za granicę sprzątać hotele, zbierać truskawki – potem wracają, by przez kilka miesięcy znowu być artystą.

Naszym problemem jest nie tylko brak etatów, ale i to, że większość spektakli szybko kończy swój żywot albo jest rzadko grana. Teatry zdobywają granty na zrobienie spektaklu, ale nie mają pieniędzy na jego eksploatację. Granty to państwowe pieniądze wydawane po to, aby dwa razy wystawić spektakl, który obejrzy może 300 osób. Nie ma spektakli, więc aktorzy nie zarabiają.

– Ile mają od jednego spektaklu?

– Ci, którzy są na etacie w teatrze, dostają od 200 do 400 złotych brutto. Ci, którzy występują gościnnie, dostają więcej, ale oni nie mają etatu. Ja dostaję około 700. Ale muszę za te pieniądze dojechać, przenocować. Zarabiam tyle, że nie stać mnie na opłacanie składek.

FAŁSZYWE CASTINGI

Maksymilian Rogacki, przewodniczący Związku Zawodowego Aktorów Polskich, mówi, że sytuacja artystów po pandemii jest szczególnie trudna. Akto-

rzy zatrudnieni na etacie zarabiają najniższą krajową, do tego mają premie, jeśli grają w spektaklach. W niektórych teatrach za wyjście na scenę dostają 120 złotych brutto. Bywa, że ich pensja nie przekracza 3 tysięcy netto.

– Jeszcze cięższa sytuacja dotyczy sektora audiowizualnego. Obecnie pracujemy nad zapewnieniem tzw. gwarantowanej stawki minimalnej za dzień zdjęciowy. Nie chciałbym jednak podawać kwoty, bo jest to jeszcze w przygotowaniu.

– Ilu aktorów jest zrzeszonych w waszym związku?

– Ponad 1200.

– Z jakimi problemami się do was zgłaszają?

– Najczęściej z płacowymi. Wynagrodzenie zasadnicze jest często kilkaset złotych niższe niż płaca minimalna w Polsce, co jest sprzeczne z obowiązującym prawem. Tak dzieje się choćby w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie.

– A mobbing?

– Takich spraw mamy niewiele, głównie dotyczą mobbingu ze strony dyrektorów, nie reżyserów. Ostatnio docierają do nas skargi na fałszywe castingi. Szczególnie wyróżnia się tu jeden, główny organizator fałszywych castingów, który wyludza od młodych aktorek nagie lub półnagie zdjęcia, a później umieszcza je na stronie internetowej. Młode aktorki wierzą, że casting jest prawdziwy, i udostępniają swoje fotografie.

NA SZCZĘŚCIE MĄŻ JEST ETATOWCEM

Milena Czarnik jest choreografką, kostiumografką, scenografką i reżyserką światel. Zdarza się, że robi wszystko naraz.

– Nie przepracowałam ani jednego dnia na etacie, moje prace to umowa o dzieło. Może raz miałam umowę-zlecenie.

– Ubezpieczasz się prywatnie?

– Jestem w uprzywilejowanej sytuacji, bo mąż jest etatowcem w teatrze, do tego wykłada w szkole teatralnej, więc jestem podciągnięta pod jego ubezpieczenie.

– A w teatrach nie ma etatów dla choreografów, scenografów, kostiumografów?

– Już nie. Ale może i tu zacznie się bunt. Wiem, że castingery próbują się zrzeszyć, by walczyć o lepsze warunki pracy.

BOTY NAS OKRADAJĄ

Udało się zrzeszyć dubbingowcom.

W 2021 roku założyli Związek Zawodowy Twórców Dubbingu.

Jan Aleksandrowicz ze związku: – Udało nam się wywalczyć 25 procent podwyżki. O ile studia są otwarte na dialog, o tyle klienci tną koszty i nie chcą słyszeć o naszych postulatach. Z Netflixem, Paramountem, Canal Plus i Disneyem na czele, choć ten ostatni płaci najlepiej. A wszyscy oni chwalą się, jak to dbają o pracowników.

– Ile na miesiąc zarabia aktor dubbingowy?

– Pracujemy na umowę o dzieło, więc nikt nie odprowadza za nas składek. Są miesiące, że nic nie zarobimy. Terminy płatności to zazwyczaj 60 dni, a praktyka jest taka, że dostajemy przelew z półrocznym opóźnieniem. Płacone mamy za wers. Jeden wers to 62 znaki. W tej chwili stawka minimalna za wers wynosi 2,50 zł brutto. Jeżeli ktoś ma do zagrania 100 wersów, to zarobi 250 złotych brutto.

– To ile na miesiąc może być z dubbingu?

– Absolutnie nie da się wyżyć z samego dubbingu. Łapiemy, co jest: film, teatr, audiobook, chałtura – otwarcie konferencji. Moja żona ma etat w innej branży, jestem podciągnięty pod jej ubezpieczenie zdrowotne. Dodatkowo opłacam prywatnie ubezpieczenie na życie, gdzie mam składkę emerytalną. Żeby wspierać kulturę, państwo powinno dopłacić artystom do składek, ale także chronić ich dorobek. Coraz większym problemem są boty – ktoś kradnie głos aktora i wykorzystując jego barwę,

puszcza w komputer, choćby do czytania audiobooków. Później koledzy odkrywają ze zdumieniem, że czytają reklamę lub audiobooka, z błędami i nieczystościami. Nie mamy pieniędzy na prawników, żeby ścigać złodziei naszych głosów.

MARZENIA O REKLAMIE JOGURTU

Mówią o niej, że jest rekiną biznesu.

– Dlaczego tak mówią? – pytam Weronikę Łukaszewską, która w 2019 roku skończyła krakowską PWST.

– Bo od zawsze wiedziałam, że muszę być firmą samą w sobie, żeby się utrzymać na rynku. Założyłam działalność gospodarczą – sprzedaję plakaty, przez co mam ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne. Ale za chwilę kończy mi się niższy preferencyjny ZUS. Znajomi aktorzy ubezpieczają się w różnych dziwnych miejscach, choćby na jedną dziesiątą etatu u ciotki fryzjerki na drugim końcu Polski. Inwestuję na giełdzie, bo jest to dobra lokata oszczędności i wcale nie trzeba mieć dużo pieniędzy, żeby zacząć. Już w liceum inwestowałam drobne sumy, najpierw pożyczone od mamy, później swoje. Dywersyfikacja przychodów jest dla mnie bardzo ważna, a w tym zawodzie to już podstawa.

Gra w teatrach, dubbinguje, czyta i śpiewa w reklamach – za to ostatnie można dostać od 500 złotych do kilku tysięcy za kilka sekund śpiewania. Zgadza się na niewielkie przedstawienia teatralne – tydzień prób i dwa pokazy, dostaje za całość 500 złotych.

– Aktorzy, których znam, pracują w restauracjach, pilnują dzieci znajomym, śpiewają w reklamach jogurtu, wyjeżdżają do pracy fizycznej za granicę.

Jędrzej Piaskowski, reżyser teatralny:

– A grają dla pasji i liczą, że kiedyś to się zmieni. Marzą o serialach, najlepiej tasiemcach. Albo ktoś ich dostrzeże i zrobi z nich gwiazdę reklamy sieci komórkowej, mebli lub biżuterii. Artyści, którzy żyją w luksusie, dorobili się nie na graniu w teatrze, ale na serialach i kontraktach reklamowych.

JAK OBUCHEM W GŁOWĘ

W Teatrze Polskim w Bydgoszczy działa Związek Zawodowy „Inicjatywa Pracownicza”. Rozmawiam z członkiem związku. Nie chce się ujawniać.

– U nas ciężko zmobilizować aktorów do działania. Nie wiem, może pogodzili się z tym, że jest, jak jest, albo dorabiają gdzie indziej. Podlegamy pod urząd miasta, a miasto nas nie hołubi. Dostaliśmy ostatnio podwyżki, ale to było równanie do najniższej krajowej, a nie prezent od prezydenta. A co do mobbingu w teatrach – kiedyś było go więcej. Pamiętam, jak mnie zmiażdżył pewien nieżyjący już nestor polskich reżyserów za coś, co nie było moją winą. Później mnie przeprosił, ale ochrzanię pamiętam do dzisiaj – był jak obuchem w głowę. Pokolenie młodych reżyserów i reżyserek już sobie na to nie pozwala.

MINISTRZE GLIŃSKI, NASZ TEATR UMIERA

Prosi o anonimowość, bo „dyrektora przysłał PiS”.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że jestem szczęściarą, mam etat w teatrze. Ale zarabiam tyle, że nie starcza mi na życie. Nawet nie mam najniższej krajowej, bo dyrektor dolicza nam do pensji dodatki za premiery, żebyśmy mogli wyjść na najniższą. A przecież za premiery powinniśmy dostawać ekstra! Podejrzewamy, że pieniądze idą nie tam, gdzie powinny. Jeszcze nie wiemy gdzie. Piszemy do Ministerstwa Kultury, ale nie dostajemy odpowiedzi. Nie ma prób, nie ma premier, nasz teatr umiera.

– To jak sobie pani radzi?

– Dorabiam w sklepie z butami. ●